

Porozmawiaj z Babcią, zapytaj Dziadka

Gdyby nie wojna, nie byłoby mnie...

● Moi dziadkowie poznali się we Wrocławiu, choć Dziadek urodził się w Warszawie a Babcia na Polesiu

Tomasz Jadczyk
redakcja@gazeta.wroc.pl

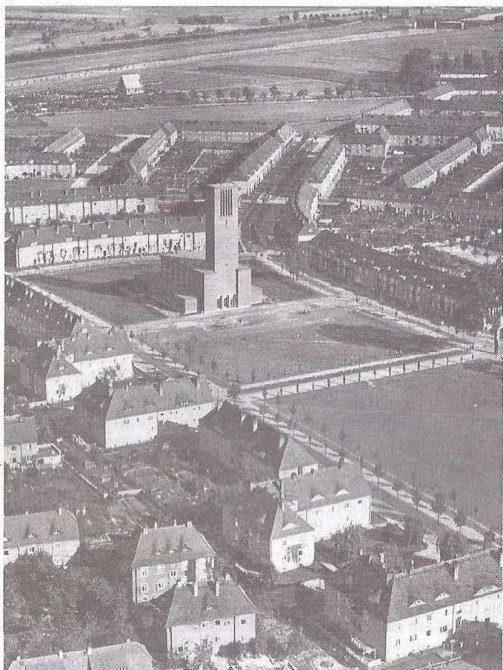
Wywiad u z Dziadkiem Aleksandra ani z Babcią Danutą przeprowadzić już nie mogę. Oboje nie żyją. Dziadek zmarł w roku 1983. Nie miałem okazji Go poznać. Babcia odeszła od nas w roku 2014. Historię, którą opiszę opowiedział mi Tato.

Mój Dziadek - Aleksander urodził się w 1921 roku w Warszawie. Babcia Danuta przyszła na świat w 1926 roku we wsi Motykały w dawnym województwie poleskim na Kresach Wschodnich. Obecnie wioska ta znajduje się na Białorusi.

Motykały od Warszawy dzieli odległość 220 km. Gdyby nie II wojna światowa Dziadek i Babcia prawdopodobnie nigdy by się nie poznali. Po wojnie bowiem obydwoje zamieszkali we Wrocławiu - 565 km od Motykały i 355 km od Warszawy. Ich droga do zamieszkania w stolicy Dolnego Śląska nie była jednak łatwa ani prosta. Kierunek tej drogi podyktowała wojna. Do tego, że Dziadek z Babcią mogli poznać się we Wrocławiu, przyczyniły się też wojenne losy innych osób.

W maju 1939 roku Dziadek zdał maturę. Jesienią zamierzał iść na studia, do szkoły oficerskiej. We wrześniu wybuchła wojna. Dziadek zamiast na studia poszedł na front. Potem walczył w Ruchu Oporu. W roku 1941 uniknął aresztowania przez Niemców. Kiedy gestapowcy weszli do mieszkania rodziny Jadczyków, Dziadka w nim nie zastali. Aresztowali Pradziadka - dziennikarza, który w czasie wojny pisał dla prasy podziemnej oraz dwie Cioce mojego Taty - łączniczki Ruchu Oporu. Najpierw wszyscy troje trafili na Pawiak. Pradziadka Niemcy rozstrzelali, Cioce wywieźli natomiast do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Po upadku Powstania Warszawskiego Dziadek musiał uciekać z Warszawy. Pod Gdańskiem został aresztowany. Mówi często, że nie rozstrzelano Go wtedy, bo szefem gdańskiego Gestapo był oficer przedwojennej policji Wolnego Miasta Gdańska, który w miarę mo-



● Sępolno z lotu ptaka w początkach lat 30. XX wieku

żliwości (tzn. bez narażania siebie), zamiast rozstrzeliwać więźniów, dawał im szansę przeżycia, wysyłając ich do obozu koncentracyjnego. Dziadka wysłano do obozu w Stuthoffie (dziś Sztutowo).

Po wyzwoleniu obozu Dziadek na krótko wrócił do Warszawy. Został tam ruiny zombardowanego domu, w którym rodzina Jadczyków mieszkała jeszcze podczas wojny i... niktogo bliskiego. Prababcia zmarła w czasie okupacji, Pradziadka rozstrzelali Niemcy, obie Cioce mojego Taty przeżyły, ale nie wróciły jeszcze z Ravensbrück. Dziadek zdecydował się więc wyjechać na Ziemię Odzyskaną - do Wrocławia.

Droga Babci Danusi na Dolny Śląsk też była długa i zawiła. Wszystko zaczęło się w 1942 r., gdy zmarła Prababcia. Pradziadek (przed wojną sekretarz w urzędzie gminy) już nie żył. Zostały dwie Dziewczynki - jak o nich mówili bliscy - szesnastoletnia Babcia Danusia i dwunastoletnia Ciocia Halinka. Na pogrzeb Prababci przyjechał Ich Wujek - ks. Stanisław Cieśliński i zabrał Dziewczynki na plebanie do jednej z wiosek na Kielecczyźnie. Ks.

Stanisław Cieśliński przed wojną był kapelanem wojskowym w stopniu podpułkownika - poszukiwanym przez Niemców. Przez całą wojnę biskup kielecki dobiegał parafie dla ks. Cieślińskiego na zasadzie „im gorza dziura, tym lepsza” - mniejsze szanse, że Niemcy skojarzą wiejskiego proboszcza z podpułkownikiem Wojska Polskiego. Babcia Danusia z Ciocią Halinką nie były zresztą jedyńymi krewnymi księdza, którzy znaleźli schronienie i opiekę na wiejskiej plebanii.

Po zakończeniu wojny ks. Stanisław Cieśliński poprosił o parafię w mieście. Sam nie czuł się dobrze w roli duszpasterza wiejskiego, a parafianie mówili „bardzo ładnie ten ksiądz mówi, tylko my nic nie rozumiemy”. Kiedy okazało się, że wolnej parafii w mieście nie ma, ks. Stanisław zdecydował się wyjechać na Ziemię Odzyskaną, gdzie brakowało polskich duchownych.

I tak na Dolny Śląsk, wraz z Wujkiem - Księdzem przyjechały „Dziewczynki”, czyli Babcia Danusia i Ciocia Halinka. Na początku ks. Stanisław Cieśliński objął Parafię św. Józefa Oblubińca NMP w Świe-

radowie-Zdroju. Tu Babcia Danusia i Ciocia Halinka podjęły pierwszą w życiu pracę zawodową w jednym ze świeradzkich sklepów. Po latach okazało się, że z handlem związane było całe ich życie zawodowe. Na początku szło im różnie, a w prowadzeniu księgowości pomagał wieczorami Wujek - Ksiądz. W Świeradowie-Zdroju Ciocia Halinka wyszła za mąż i mieszka w nim do dziś. Babci Danusi po kilku latach zaproponowano awans, czyli objęcie sklepu we Wrocławiu. I tak Babcia trafiła do stolicy Dolnego Śląska. Wujek - Ksiądz pełnił potem w Ząbkowicach i w Świerzawie funkcję proboszcza.

Po przyjeździe do Wrocławia Dziadek Aleksander udał się do najbliższej parafii, gdzie uzyskał pierwszy po wojnie dokument potwierdzający tożsamość - świadectwo chrztu „wydane na zasadzie zaprzysiężonego aktu zaufania”. Dokument ten zachował się w rodzinie do dnia dzisiejszego.

Mając już „jakis dokument” Dziadek dostał przydział na mieszkanie w wrocławskim Sępolnie. Przyjął pierwsze pokazane mu wolne mieszkanie przy ul. Partyzantów. Czas pokazał, że miało ono dość poważną wadę - było to mieszkanie szczytowe. Wymagało więc większych nakładów na ogrzewanie, i co przez pięćdziesiąt lat realnego socjalizmu było najtrudniejsze, nie tyle kupowania, co zdobycia większych ilości węgla i koksu. Dziadek nie był prawdopodobnie jedynym, który w tamtym czasie zamieszkał w pierwszym wolnym mieszkaniu, choć jeszcze było w tym wybierac. Zaraz po wojnie osadnicy przybywający na Ziemię Odzyskaną mieli poczucie, że ich pobyt na tych ziemiach będzie tymczasowy. Wszyscy obawiali się, że wkrótce wybuchnie kolejna wojna, a na Dolny Śląsk wrócą Niemcy. Dlatego nie wybrzydano przy wyborze mieszkań i domów, a po ich zajęciu długo powstrzymywano się od poważniejszych remontów. Drugim powodem były oczywiście koszty i niedobory materiałów budowlanych.

Kolejną ważną sprawą było znalezienie pracy. Największe zakłady przemysłowe Wrocławia zlokalizowane były przy ul. Grabiszyńskiej. Okazało się jed-

nak, że przynależność do AK i udział w Powstaniu Warszawskim, to „plamy w życiorysie”, które utrudniają znalezienie pracy, nawet pomimo wysokiej, jak na powojenne czasy, kwalifikacji („duża matura”) - oczywiście znowu na słowo, bo żadne dokumenty nie przetrwały wojny. W końcu jednak Dziadek znalazł pracę, jako kierownik magazynu w jednej z fabryk na Grabiszyńku.

Po kilku miesiącach do Dziadka dołączyły Jego Siostry - Cioce mojego Taty: Wanda i Lilioza. Po wyzwoleniu obozu koncentracyjnego w Ravensbrück Cioce zostały ewakuowane do Szwecji, gdzie pod opieką Szwedzkiego Czerwonego Krzyża odzyskiwały utracone w obozie zdrowie, siły i kilogramy. Początkowo rodzeństwo mieszkało razem. Potem Ciocia Wandzia poznała Wujka Miecia, wyszła za mąż i przeprowadziła się na Zalesie.

Babcia Danusia po przyjeździe do Wrocławia razem ze swoimi koleżankami również zamieszkała na Sępolnie, przy ulicy Kosymierów Gdąskich. Ulica ta sąsiaduje z ulicą Partyzantów. Babcia i Dziadek mieszkali więc blisko siebie. Dziadek z Babcią nie opowiadali Tacie, kiedy i w jakich okolicznościach się poznali. Mieli wspólnych znajomych, mogli więc spotkać się u nich. Dzisiaj wiadomo tylko, że po jakimś czasie znajomość doszła do zaręczyn i ślubu. Babcia nigdy nie mówiła o żadnym z pierścionków, że to pierścionek zaręczynowy. O pierścionku z brylantem mówiła natomiast, że dostała go od Dziadka. Nie wiadomo jednak, czy na zaręczyny, czy później. W tamtych ciężkich czasach pierścionka zaręczynowego mogło po prostu nie być. Dziadkowie nie opowiadali też o weselu, więc zapewne było to bardzo skromne przyjęcie. Po ślubie Babcia przeprowadziła się do mieszkania przy ul. Partyzantów, gdzie zamieszkała ze swoim Mężem, czyli Dziadkiem Aleksandrem oraz ze Szwagierką, czyli Ciocią Lilą. Mieszkała tam razem do śmierci. Wkrótce po ślubie urodził się ukochany synek Babci Danusi i Dziadka Olka - Piotruś, który wyrósł na mojego Tatę.

W pierwszych latach po zakończeniu wojny ludzie żyli na ogół biednie. Także ci, którzy zamieszkał na Dolnym Śląsku.

Babcia Danusia zaobserwowała też, że dawni więźniowie obozów koncentracyjnych mieli ograniczone potrzeby materialne. Dlatego pierwsze firanki i dywany do mieszkania na ul. Partyzantów zostały zakupione dopiero po wprowadzeniu się Babci. Poniemieckie meble z biegiem lat były zastępowane nowymi. Dziadek z Babcią marzyli także o rzeczach, na które nie było ich stać, albo które trudno było kupić. Dziadek długo marzył o własnym aparacie fotograficznym. Marzenie spełniło się dopiero na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dziadek dostał wtedy używany aparat fotograficzny Zorka-4 produkcji radzieckiej o wadze 2 kg.

Babcia marzyła o dwóch rzeczach: maszynie do szycia i o pierścionku z rubinem. Tato zaś od dziecka obiecywał spełnić te marzenia za pierwszą pensję. Kiedy Tato skończył studia i podjął pracę, było to realne pod względem finansowym, a w sklepach nie brakowało już niczego. Babcia stwierdziła wtedy, że maszyna do szycia już Jej niepotrzebna, bo teraz ubrać nie trzeba zżyć samemu. Można je kupić gotowe. Lata, w których nosiłaby wymarzony pierścionek z rubinem też już minęły i nie warto na niego wydawać pieniędzy. Dzisiaj spełnianie takich marzeń jest dużo łatwiejsze i nie trzeba na to czekać latami. Wojna wywarła piętno na psychice mojego Dziadka. Przez całe powojenne życie zdarzało mu się krzyżać przez sen. Obudzony i zapytany „Co Ci się śniło?” zawsze odpowiadał tak samo: „Gonili mnie Niemcy”.

II wojna światowa trwała kilka lat, wpłynęła jednak na bieg całego dalszego życia tych, którym dane było ją przeżyć, a także tych, którzy dopiero mieli się narodzić. Gdyby nie wojna, Dziadek Olek zapewne skończył studia, Babcia Danusia nie przerwałaby edukacji, mając 16 lat. Nie przyjechałby też na Dolny Śląsk, by spędzić tu resztę życia. Dziadek Olek nie spotkałby Babci Danusi. Na świecie nie byłoby mojego Taty. Także Dziadek Józef nie poznałby Babci Janki. Nie byłoby więc mojego Mamy. Nie byłoby też i mnie... ●●●

AUTOR JEST UCZNIEM ZESPÓŁU SZKÓŁ URSZULANSKICH (GIMNAZJUM) WROCŁAW